

PROMIEN



PISMO MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ

NR. 6

MARZEC 1937

ROK XII

— Silniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję! —

PROMIĘŃ

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum Im. I. Marszałka Polski
J. Piłsudskiego w Ostrowie (Wlkp.)

Kierow. wydawnictwa — Redaktor odpowiedzialny — Redaktor naczelny
Óżegowski P. Prof. dr. J. Jachimek Feliks Pałyca

W dniu imienin

p. prof. dr. Józefowi Jachimkowi

składamy krótkie, ale szczerze życzenia
wszelkiego szczęścia i dalszej owocnej
pracy w naszym Wydawnictwie

REDAKCJA

19 - ty marca.

! nadchodzi znowu dzień pamiętny dla każdego Polaka,
! dzień związany ściśle tradycją kilku lat z osobą zmar-
łego Wodza Narodu naszego, śp. I. Marszałka Polski J. Pił-
sudskiego. Jeszcze przed dwoma laty, w dniu tym długie sze-
regi rozmaitych delegacyj szurały nogami po pokojach bel-
wederskich poczekalni, przynosząc Komendantowi życzenia
imieninowe. Teraz Komendant odpoczywa już po znojnje
przepracowanym życiu, w cichych podziemiach wawelskich.

Lecz „non omnis mortuus est”. Duch jego żyje wśród
nas, żyją jego myśli i jego idee. To nie frazes. Marszałek
pozostawił po sobie tyle trwałych pamiątek, że nie pozwolą
one Narodowi polskiemu zapomnieć o Tym, który w krwa-

wym znoju wywalczył Polskę i każe pamiętać stale o tym, jak ją prowadził ku jasnej przyszłości.

Kiedy w czasie wojny światowej Naród polski zdeorientowany nie wiedział co robić, czy czekać, aż sprawiedliwość dziejowa sama wróci Polakom ich wymarzoną Polskę, czy też samym zabrać się do jej odbudowy, on sam zrozumiał, że tu potrzeba czynu, czynu orężnego, któryby wykazał całemu światu, że Polacy godni są posiadać własne państwo, że potrafią je utrzymać. On zorganizował bojowe organizacje wojskowe, które dały odradzającemu się państwu kadry wyszkolonych oficerów, on wreszcie stworzył Legiony i stanął do walki z ciemnością. Poprowadził wojska, pełne wiary i entuzjazmu od zwycięstwa do zwycięstwa. Aresztowany w końcu i uwięziony w Magdeburgu, tu doczekał się zakończenia wojny. 11 listopada wraca Piłsudski do Warszawy, aby dokończyć rozpoczętego dzieła. Jest dyktatorem Rząd Ludowy i Rada Regencyjna ustępują same Naczelnikowi.

Lecz właściwością ludzi wielkich jest to, że nie wskazując dróg rozwoju, stwarzają tylko warunki pracy. Tak było i w chwili odzyskania niepodległości. Marszałek nadał państwu ustrój republiki, a budowę wewnętrzną państwa pozostawił samemu społeczeństwu.

W pracy tej społeczeństwo zetknęło się z rzeczywistością państwową. Zetknięcie to spowodowało pewne rozczarowanie.

Spoleczeństwo polskie w ciągu długiego okresu nauczyło się patrzeć na Polskę, jako mit, który wznosił się na niesłychaną wysokość i stamtąd miał stąpić, jako nagroda za cierpienia.

Mesjanizm przyczynił się do tego, że oczekiwano przyszłej Polski, jako czegoś doskonałego, co będzie istnieć samo przez się. Gdy więc po odzyskaniu niepodległości miano się zabrać do czynnej pracy dla dobra Polski, dla jej umocnienia, okazało się że ze spuścizny wieszczów pozostała tylko frazeologia. Potrzeba było nowych myśli, nowego programu, bo stary niezgodny był z życiem. Jednak do opracowania nowego programu nie zabrano się. Zamieniono się w biernych widzów, którzy wierzą, że ktoś Polski pilnuje, że ktoś ją tworzy. Widać było, jakie szkody wyrządziła w narodzie długa niewola. W wolnym już państwie polskim uważano Naród i państwo za coś zupełnie odrębnego, przyczem pojęcie państwa tak się zrosło z państwem zaborczym, że do własnego ~~odwołano~~ się bardzo często z nieuf-

nością. Kwitnie partyjność i zamieszanie, któremu kres kładzie w r. 1926 Marszałek J. Piłsudski.

On jeden umiał znaleźć się w polskiej rzeczywistości państwowej, on jeden zrozumiał, że Polskę trzeba odbudować na nowo, bo nie jest ona wspaniałym gotowym gmachem, lecz ruiną zniszczoną niemal do fundamentów. Teraz przekonał się, że Polska, aby się mogła dobrze rozwijać, musi mieć silny rząd, uosobiony w głowie państwa. Do wzmocnienia tejże władzy rządu dążył stale i konsekwentnie, czego owocem jest ustawa sierpniowa z 1928 r. i Konstytucja z 23 kwietnia 1935 r.

I całe życie Tego który odbudował nam naszą Polskę i doprowadził ją do siły, jaką dzisiaj posiada, wyraża tę jedną wielką myśl, że: „miarą wartości człowieka jest tylko praca i to praca twórcza”. I my, którzy sami wybraliśmy Go sobie za patrona, zawsze to pamiętać będziemy, bo rozumiemy, że Polskę mocarstwową sami sobie budować musimy.

T. Hyla.

Splunąć w dłonie i... do pracy.

To co minęło, to tylko może dodawać nam sił i ducha, ale do dalszego rozw. bezpośrednio nas nie poprowadzi. Cóż pomogą najwspanialsze postaci przeszłości? Cóż znaczą ich mieśmiertelne czyny, kiedy nie znajdują następców, którzyby ich zarazem rozchmuchiwali? Wiemy dobrze, że nie.

Przeszłość to gleba, która choć najżyźniejsza, nie wyda plonu, gdy na niej pracować nie będziemy.

Kiedy więc mamy znów ohchodzić 19 marca, to nie będziemy wtenczas miejsca na rozpatrywanie bezczynne przeszłości.

W dniu tym pokażmy cośmy zrobili. Uprzytomnijmy sobie nawzajem jak wiele jeszcze nam zostaje do zdziałania. Możliwość wykazania dotychczasowych wyników będziemy mieli na akademii, która się w dniu 19-go marca odbędzie.

Niech jednakże ten przegląd nie będzie potokiem pustych a błyskotliwych słów. Pokażmy, to co jest, w takich barwach, w jakich to jest. Jeśli zaś nieszczególnie będzie wyglądało to nie zrażajmy się. Niech wstyd, jeśli zapłoni nasze twarze, niech ten wstyd, na widok owocnego wysiłku innych, ustąpi błyskom rzeczywistej siły i energii. Niech wstąpi w nas, nowa ożywcza i twórcza siła, która by zostawiła naszym następcą pomniki, przed którymi stać będą z rozdziawionymi ustami.

Jeśli chodzi o nas, o „Promień” to my, jako plon dajemy jedenastoletni wysiłek poprzedników i nasz własny w postaci sześciu numerów dotychczas wydanych. To dajemy my. Jest to dar dla całej społeczności gimnazjalnej. Dar ze serc szczerych i gorących, jak okładka naszego pisma.

Kierownik Wydawnictwa.

Garść wspomnień z wielkich dni.

Za parę lat gimnazjum nasze obchodzić będzie stu-
lecie powstania. Przez ten okres działo się wiele różnych
ciekawych i ważnych rzeczy. Lecz jakie były. Właśnie
oto nam chodzi. Zajrzeć, trzeba do historii. Niestety nie
ma jej. Materiały rozwiane i rozproszone są po całej Pol-
sce. Dlatego trzeba je zebrać. Do celu tego posłuży „Pro-
mień.” Od tego numeru, o ile możności, będziemy skrzę-
tnie wszystko zbierali i drukowali, by nasi następcy mie-
li z czego czerpać farb złotych i srebrnych do odmalowa-
nia dumnej naszej przeszłości. Artykuł poniższy rozpoczy-
na to gromadzenie. Prosimy tych, co będąc po za murami
uczelni a mają jakieś przyczynki, by nadsyłali je na ręce
naszego Wydawnictwa.

Kierownik Wydawnictwa.

Na fali czasu odpłynęły już w mglistą dal niezapomniane,
wielkie dni zrywania wiekowych kajdan narodu. Pod-
rasta już pokolenie, co u kolebki swej nie znało zgrzytu
łańcuchów, którymi spętano jego ojczyznę. —

Piętnaście lat — w naszych czasach — to szmat dzie-
jów niemały. — Najlepszą jego miarą jest ta, jakże gruntow-
na zmiana pojęć i wartości, —

Jakże pusto i obco brzmią nam dziś w uszach upojne
różne hasła owych dni!

Mają jednak swój wielki, dydaktyczny sens, obchody
rocznic. Toć jedyna to chwila, w której ludzie, wartkim prą-
dem dziejów niesieni w nieznaną dal, skłonni są odwrócić
raz wstecz swe oczy i przeżyć raz jeszcze minionych kształ-
tów i zdarzeń treść, by na ich tle lepiej i głębiej zrozumieć
to, co ostatecznie jest zawsze najważniejszym: terażniej-
szość.

Niech małym tu przyczynkiem będzie garść wspomnień
osobistych z owych wielkich, — wiosennych (mimo zadym-
ki zimowej) dni.

Nie mogę opowieści swej ograniczyć do owych kilku
dni, które niczem innym nie były, jak spadnięciem z drze-
wa dojrzałego owocu pracy długich lat. Sięgnąć musimy
wstecz do tych ruchów, które przygotowały zmartwychwsta-
nie.

I. W podziemiach konspiracji.

Jeśli w Wielkopolsce — a także (w nieco może mniejszym stopniu na Pomorzu) — zachowała się liczniejsza rdzenie polska inteligencja, (a nie tylko stan średni i proletariat, jak np. na Śląsku) i oparła się zwycięsko naporowi kultury obcej i panującej, a przede wszystkim i pokusie zaprzędania się wzamian za karierę — to niewątpliwie lwią część zasługi przypisać trzeba pracy konspiracyjnej kółek młodzieży gimnazjalnej, której nadbudową (a bynajmniej motorem) były organizacje akademickie. Początki tych kółek, które za naszych czasów nosiły nazwę TTZ. (Towarzystwo Tomasza Zana) — toną w pomroce XIX w. Toć jedynym źródłem może tu być tradycja ustna, gdyż wszelkie ślady pisemne niszczono, ze względu na niebezpieczeństwo wsypy, do której przeczono — jak wiemy z pamiętnych procesów uczniowskich — niejednokrotnie dochodziło. —

Za moich czasów TTZ. było — szczególnie w rodzinnym mieście moim — Ostrowie, wyśmienicie zorganizowane. Właściwe stowarzyszenie stanowili „Filomaci,” do których przyjmowano uczniów od tercji (tj. IV i V gimnazjalnej) począwszy, po należytych ich wypróbowaniu. Filomaci dzielili się na cztery stopnie naukowe. Ze stopnia na stopień przechodziło się po złożeniu egzaminu ustnego i pisemnego. Po ostatnim egzaminie wchodziło się do „działu pierwszego” i zyskiwało stopień „delegata,” który jedynie dawał prawo do piastowania urzędów w zarządzie. „Delegatka” składała się z dwóch wypracowań klauzulowych i egzaminu ustnego z stylistyki (na niższych stopniach ortografia i gramatyka), historii polskiej i historii literatury polskiej, z lektury (przewszystkim wieszczów, ale także Wyspiańskiego, Kasprowicza i innych) oraz ekonomii (na niższym stopniu: geografia polski). Egzamin trwał pięć godzin...

Osobne stowarzyszenie, posiadające zarząd — fikcyjny (złożony rzekomo z „kółkowych”) — stanowili „Filareci.” Byli to uczniowie klas średnich. Inni składali uroczystą przysięgę. Mieli też (choć rzadko) znaczenie ogólne, ale nie wiedzieli nic o Filamatkach i ich zarządzie, który nimi kierował. Filareci również dzielili się na cztery działy, tak, że w rezultacie było to 8-klasowe gimnazjum, prowadzone przez uczniów tamych, przyczym nieraz kolega z niższej klasy uczył kolegę z wyższej, skoro był dalej w organizacji. Poza tym istniały luźne kółka „Promienistych.” T.zw. „sesje” odbywały się normalnie dwa razy tygodniowo w kółkach obejmujących najwyżej 6 członków z tego samego „działu.” Zebrania plenarne były rzadkie — ze względu na niebez-

pieczeństwo. Odbywały się one w lasach, przy księżycu — lub w niedzielę o świcie... Schodziło się po dwóch — różnymi drogami. —

Za czasów moich — był to już okres w. wojny — umysły coraz bardziej opanowała niecierpliwa myśl o walce zbrojnej z Niemcami. Pierwszym krokiem w kierunku jej przygotowania — było harcerstwo konspiracyjne. Ćwiczenia musztry odbywaliśmy z wielkim zapamiętaniem, głównie w lesie między Szczygliczką a t.zw. Piaskami. Dopiero w roku 1918 nabraliśmy tupetu — i rozpoczęliśmy ćwiczenia w — zamkniętej oczywiście — w wielkiej sali Domu Katolickiego, gdzie też zapoznawaliśmy się już z karabinem, tym tak odległym do niedawna przedmiotem snów, podsycanych obchodami rocznic powstaniowych. —

Płonęły dusze młodociane entuzjazmem, a w płomieniach tych ginęło wszystko, co małosłowne i niedogodne przyszłych powstańców, żołnierzy Tej, która idzie w zorzach zmartwychwstania... Samouctwo, owiane urokiem konspiracji, dawało plony, jakich zazdrościć może niejedna nie-najgorsza szkoła. Toć chłopcy, którzy z początku często trzech słów poprawnie po polsku napisać nie potrafili, na stopniach delegatów byli wszyscy... kwalifikowanym nauczycielami języka polskiego, a znajomością literatury polskiej z pewnością zapędziliby w kozę ród niejednego dzisiejszego maturzystę. Ważniejszym jeszcze był poziom moralny. Abszynecja była bardzo rozpowszechniona. Jednego tylko pamiętam kolegę, który upijał się na wycieczkach szkolnych (jak wszyscy Niemcy z profesorem na czele.) Ten jeden kolega był jedynym w klasie, który nie należał do TIZ.

Również i zainteresowanie dla płci pięknej nie wychodziły (z rzadkimi wyjątkami) poza niewinne zgoła flirty na ulicy, czy na łodzi. —

Czy zresztą mogli mieć czas na głupstwa ci, którzy oprócz swych zajęć szkolnych — mieli swoje własne, tajne gimnazjum, w którym byli uczniami i nauczycielami zarazem?

Dalszy ciąg nastąpi.

Dr. Andrzej Niesiołowski.

„Barziej do serca to, co boli, człowiek

„Przypuszcza, niżli co gmyślił się dzieje

„I stądże się zda, że tego jest więcej,

„Co trapi, niżli co człowieka cieszy.

Kochanowski.

Modlitwa kapłana.

Przekład heksametrem z I. - ks. „Iliady.”

p. prof. Wojłowiczowi — uczeń.

Poszedł więc cichy wzdłuż brzegu, gdzie morze rozszumiało

[się pluskiem —

Modlił się kapłan żarliwie z dala od wrogich okrętów,

Prośbę słał do Apolla, którego Latona zrodziła:

„Usłysz mnie, Srebrnoluki co Chryzę w opiece masz boskiej,

W Kili i świętej Ty mieszkasz i władasz wszechmocnie w Tene-

Boże! Jeśli ci miła, wspaniałą wzniosłem świątynie, [dos...

Jeśli ci w darze, o Panie, dziś udźce spaliłem przetłuste

Byków i kóz, tedy Ty racz wysłuchać mych prośb drżącoustych

Odplać Danaom me ślozy, pomścij sowicie strzałami!”

Rzekł tak w kornej modlitwie. Wysłuchał go Febus Apollo.

Zstąpił z Olimpu — a gniew mu okrutny wrzał w serca głę-

[binie

Niósł Srebrnoluki swój kołczan, u boku, misterny ze skóry,

Dźwięczały strzały na plecach Apolla tak rozgniewanego...

On — Bóg Światła, jak noc zła, posępny, jak noc szedł po-

[nury.

Siadł potem z dala od czarnych okrętów i łuk swój naprężył

Nagle!... To dźwięk straszliwy od łuku się rozległ srebrnego!

Najpierw więc w psy słał swe strzały pierzaste, świszczące

[jękliwie

Wnet i w Achajów w obozie strwożonych grotami wściekłymi

Bil!! — a długo wśród jęków żagwiły się trupy na stosach.

Józef Szczublewski

Radio...

Mój przesył wiekiem dwudziestym przeminie,

Kiedy to w szarej, wieczornej godzinie,

Odпочywając od dziennego krzyku,

Nastawiam radio i siadam w kąciaku...

Dzień Boży cały ciosy na mnie wałq.

Więc koję duszę eterową falq;

Radio mi daje bólów zapomnienie

I, choć na chwilę, wpadam w rozmarzenie...

Koi mą duszę muzyka radiowa;

Dusza w ten pancerz muzyczny się chowa

I duma sobie pośród dźwięków lasu,

Wolna od maszyn huku i hałasu...

Zybała Stanisław

Z TEKI WZOROWYCH WYPRACOWAŃ.

Konrad Wallenrod w wojnie domowej w Hiszpanii.

Strzały cichły powoli..... Nieprzyjaciół postanowił widocznie na noc cofnąć się... Słońce zapadało powoli za górami Guadarrama.

Jeszcze padło kilka strzałów i zapadła cisza... Pozycje rządowe pod Guadalajara, broniące toru i mostu kolejowego, wytrzymały.

Powstańcy cofnęli się pomiędzy skały. Raz po raz błyskał ogień tam w górze, a nawet, gdyby ucho wyteńczyć, możnaby było usłyszeć głosy żołnierzy przeciwnej armii. Nie przejmowali oni się zbyt dzisiejszym niepowodzeniem. Armia czerwonych nie mogła już długo się bronić. Dzisiaj w nocy ma sąsiednia grupa pułkownika Juana Benicarto wysadzić w powietrze most pod Alcala de Henares, by nie dopuścić posiłków dążących koleją z Madrytu do grupy rządowej, operującej pod Guadalajara. Dlatego to żołnierze gen. Franco spokojnie, a nawet wesoło spędzali noc, gdy oddział przeciwny za ledwie nikłe ognie rozpałał w dolinie. Milicja stała z bronią u nogi, obawiając się nagłego ataku nocnego...

Po krótkim czasie na ciemno-granatowe niebo wypłynął sierp księżyca. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Od południa dochodziły czasem przytłumione odgłosy salw armatnich wojsk narodowych, atakujących z Alcorcon stolicę — Madryt... W namocie dowódcy powstańca panowała kompletna cisza. Sam dowódca, pułkownik Barajos de Armeda, zdawał się drzemać w trzcinowym fotelu. Nikłe światło lampki naftowej oświetlało poważną, skupioną twarz pułkownika, i stół zarzucony mapami, szkicami, planami. Przy płachcie wejściowej namiotu czerniał cień człowieka, oficera dyżurnego.

— Poruczniku! — odezwał się nagle pułk, Barajos de Armeda — Czy nie ma dotąd gońca od grupy płk. Benicarto?

— Nie ma dotąd, panie pułkowniku.

— To dziwne. — mrucał do siebie dowódca — Benicarto, przed godziną już powinien był wysadzić most. Niepodobno, abym nie słyszał huku. Zresztą miał natychmiast przysłać gońca.

De Armeda zasępił się jeszcze bardziej. Gdy takie, czy inne powody przeszkadzały mu wysadzić most, powi-

nien go także zawiadomić, w przeciwnym razie posiłki z Madrytu dojadą do Guadalajara i w tedy nie będzie ani co marzyć o wyparciu ich z tych pozycji. Uplywały minuty za minutami. Gwar w obozie ucichł. Każdy chciał wypocząć przed bitwą. Tylko w namiocie Komendy świeciło się stale światło. Dopiero około trzeciej nad ranem, jakiś ruch i hałas przed namiotem obudził z zadumy Komendanta.

Czyjaś ręka gwałtownie szarpnęła płachtę i w wąskim otworze ukazał się jakiś człowiek, otoczony rojem ciekawych, pobudzonych ze snu żołnierzy.

— Co się stało? — zapytał zrywając się dowódca —

Kto jesteście? — zwrócił się do przybysza.

Słabym głosem odrzekł zapytany:

Z byłej grupy pułkownika Benicarto... — Teraz dopiero de Armeda spostrzegł stan ubrania przybyłego żołnierza. Mundur jego był w strzępach, z nagiego ramienia spływały krople krwi, krzepnąc natychmiast.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął przerażony pułkownik.

— Grupę pułkownika Benicarto — odpowiedział z trudnością żołnierz — zaatakowali około północy milicjanci. Byli oni w sile około 1500 ludzi. Zaskoczyli nas zupełnie niespodziewanie.

Nie było nadziei, abyśmy mogli się ocalić. Dlatego pułkownik wysłał mnie, abym was, panie pułkowniku, zawiadomił. Byłbym przybył prędzej, ale przy wycofywaniu się oberwałem trochę. No, ale byłbym zapomiał. Jak uchodziłem na szczyt, zauważyłem długi sznur wagonów, poprzeczanych pancerką. Niechybnie były to te posiłki, które wieczorem opuściły Madryt. Łudziłem się, że pułkownik zdąży wysadzić most zanim pociąg nadjedzie. Dążąc tutaj nie usłyszałem jednak wybuchu. Nie było sądzonym nam zwyciężyć! Całe szczęście, że posiłki będą mogły być dopiero rano tutaj, bo zniszczyliśmy dla pewności kawałek toru za mostem, już wieczorem. Będą go musieli wprawdzie naprawić.

Pułkownik opuścił ponuro głowę na piersi. Zamyślił się. W tej chwili ma pod swą komendą trzystu żołnierzy. Nieprzyjaciel w sile około trzech tysięcy ludzi rozbije rankiem w puch jego wojsko. Gońca po posiłki trzeba by posyłać aż do Sepulveda. Zajęłoby to około sześciu godzin czasu. Zanim pomoc nadejdzie, placówka jego w górach Guadarrama padnie. Nagle jakaś myśl przedarła się do jego mózgu. Wstał nagle i krzyknął na oficera dyżurnego:

— Zarządzić alarm! Natychmiast ruszamy!

Gońce do Sepulveda z zawiadomieniem o naszej sytuacji wysłać!

Dowódca 16 pułku milicji ludowej z Madrytu Gomez y Formentem, zdołał rzeczywiście rozbić doszczętnie grupe wojsk narodowych pułkownika Benicarto i w ten sposób zapobiec wysadzeniu mostu. Sam pułk, Benicarto zapewne w starciu zginął, ciała jego jednak nie odnaleziono. Przez całą resztę nocy i przy blasku reflektorów, naprawiano zniszczony tor. Około godziny szóstej nad ranem tor był zrobiony. Można było ruszyć naprzód.

Z okolicznych gór spływała powoli mgła, rozpraszając się po dolinie. Pułkownik zwlekał z wydaniem rozkazu wyruszenia. Siedział on w namiocie dawnej komendy pułk. Benicarto ukryty w cieniu. Rozmyślał głęboko. Ciszę nagle przerwał milicjant raportujący z radością:

— Towarzyszu Komendancie! Grupa pułkownika Barajos de Armeda, w sile 300 ludzi, zaczęła się ok. 5 klm. stąd w wąwozie Campenterii del Guadarrada. Droga w dolinie jest wolna. Możemy pójść dołem, obejść ich, korzystając z mgły, i zaatakować od tyłu, gdzie nie są niczym chronieni!

Milicjant umilkł zadyszany, zdziwił się jednak milczeniem swego dowódcy, dodał więc:

— Towarzyszu, trzeba się spieszyć, by pomóc naszym na odcinku Guadalajara. Ja znam tę trasę bardzo dobrze. Zaraz wskażę ją na mapie. Dopył z mapnika mapę a ponieważ ranek był ciemny, zaśwycił latarkę elektryczną dla poświecenia sobie. Przypadkiem rzucił okiem na twarz swego komendanta. —

Latarka wypadła mu z ręki i usta otworzyły się do okrzyku. Przed nim na krześle, siedział obcy mu człowiek ubrany w mundur pułkownika milicji ludowej. Nie zdołał jednak wydać głosu, bo oto w rękę nieznanomego załśniła broń i rozległ się przytłumiony wrzawą, dochodzącą z zewnątrz strzał. Bezwładnie, bez jęku, opadł na ziemię trup oficera. Usłyszał jednak strzał wartownika i wpadł do namiotu. Pytająco spojrzął na ciemny kształt skulony na ziemi, oblanej krwią. Ocucił go jednak rozkazujący głos pułkownika:

— Zarządźcie towarzyszu alarm! Ciała tego nie ruszać. To szpieg huntowników. Ruszamy zaraz w drogę!

— Tak jest, towarzyszu!

Milicjant obrócił się i wyszedł z namiotu. Po chwili w obozie wrzawa i bieganina wzmożła się. Każdy szykował

się do ataku. Do namiotu komendy wpadł zastępca komendanta.

— Towarzyszu pułkowniku! Oddziały są gotowe do wymarszu!

— Dobrze towarzyszu! Każcie założyć maski gazowe, bo otrzymałem wiadomość, że nieprzyjaciel jest w posiadaniu większej ilości bomb gazowych. Ruszamy w zwartej masie na wąwóz Campenterio del Guadarrada. Nieprzyjaciel znajduje się pod Porte de Novacerrada, nie potrzeba więc ubezpieczać się jeszcze.

-- Dobrze towarzyszu, ale...

— Tu niema żadnego ale. Dałem rozkaz, proszę go wykonać do ostatniej litery. Odmaszerować!

Po chwili pułk ruszył w drogę. Szedł prosto śmierci w łapy...

Prowadził go pułkownik w masce gazowej, otoczony rojem oficerów również zabezpieczonych przed atakiem gazowym.

Po godzinie marszu, milicjanci zbliżali się do wąwozu. Szli pełni otuchy, sarkając tylko trochę na maski, utrudniające im oddychanie. Nie ośmielali się jednak ich zdjąć.

Pierwsza kompania wkroczyła do wąwozu. Głucho zadudniły ich kroki na skalistym podłożu jaru. Po niedługiej chwili cały pułk zniknął w czeluści wąwozu.

Nagle... milicjantom zdawało się, że to już koniec świata. Obie ściany wąwozu i wejścia do niego zadymiły się od nieustannych wystrzałów. Głucho terkotały kulomioty, które zajęły wejście i wyjście do wąwozu. Nieopisany zamęt wszczął się wśród wojsk rządowych. Trup padał na trupa. Konie kwicząc tratowały piechotę, daremnie usiłującą skupić się i rozpocząć obronę. Piekielna ta kanonada nie trwała długo. Słońce oświetliło cały wąwóz zasłany stosami ciał. Cały pułk padł co do nogi. Trzysta żołnierzy pułkownika Barajosa de Armeda rozbiło w puch 3 tysiące doskonale wyposażonych milicjantów. Dno wąwozu przeszukiwały patrole wojska narodowego, badające, czy kto nie symuluje śmierci. Pod trupem konia zauważono ciężko rannego pułkownika milicji, który tak niefortunale poprowadził żołnierzy. Ciało zalane krwią zaniecono przed pułk. de Armeda. Ten zaintrygowany skierował się ku rannemu, lecz gdy spojrzał na twarz jego zmartwiałą...

Na noszach, blady z upływu krwi, leżał pułkownik Benicarto w mundurze milicjanta. De Armeda nachylił się nad nim z okrzykiem zdziwienia. Benicarto ocknął się

z omdlenia. spojrział dookoła, uśmiechnął się do nachylnego ponad nim i cichym przerywanym głosem szeptał:

— To ja w starciu..... nad mostem... zabiłem pułkownika milicji... nikt tego nie widział... trupa wrzuciłem do rzeki... sam włożyłem... jego mundur... Wiedziałem, że ty tu jesteś Barajosie... dlatego ich... tutaj przyprowadziłem... dowidzenia Barajosie... na mnie już czas... tam... bądź zdrów...

Niech żyje... Hiszpania!...

Głowa mu opadła w tył, ciało wyprężyło się. Obecni odkryli głowy.....

— Bohater — szepnął de Armeda.

— Bohater — powtórzyli oficerowie.

Po niedługim czasie wśród kamieni wykopano dół, gdzie złożono zwłoki pułkownika Benicarto. Kompania wojska oddała salwę honorową..., Zwłoki zasypano a na kopcu mogiły utknięto tabliczkę.

„Tu spoczywa pułk. Benicarto. Poległ dnia.... miesiąca listopada roku 1936, za wolną i narodową Hiszpanię“.....
Mieczysław Banaszekiewicz VII a

Noc w zamku.

W oddali pies gdzieś zaszczekał...

Ziemię okryła czarna powłoka,

Wszystko już dawno ucichło,

I tylko cienie jakieś mknęły po polach

...w zamku już światła pogasły..:

Wiatr z cicha szemrał po murach zamczyska,

Dźwięczał ponuro po szybach..,

...sala ponura, złowroga...

Okna zakryte martwym całunem,

Ściany obite kirem żalobnym..

...cicho.., ponuro... i smutno...

Na środku sali coś lekko majaczy,

Coś tajemniczo, spokojnie tam stoi...

...Katafalk...

— odkryte wieko leży na ziemi,

biała trumienka błyszczycy w półmroku...

Cicha, z usty sinymi,

W długie śmiertelne szaty spowita,

Leżała sama, jak sen spokojna ..

Bładość pośmiertna okryła lica.

Złotym warkoczem muskała trumienkę

I z tym uśmiechem — co na wieki zgasła,
 Leżała sama w bezbrzeżnej ciemności,
 Wśród cichej nocy bezgwiazdnej..

Wtem lekko drzwi zaskrzypiały.
 Przez wąską szparę do środka się wsunął
 Chłopiec — jak ona — miły, jasnowłosy,
 O brzeg trumienki oparł swoją głowę,
 Spojrzał w jej oczy sine, lazurowe...

... w źrenicach lzy zabłysnęły...
 przez myśl miłe przebiegły wspomnienia,
 jasną czupryną zchylił jeszcze niżej...

... w oddali pies gdzieś szczekał..

Tadeusz Rajski.

Tworzenie.

Rzucił Architekt cyrkiel i ogarnął okiem gotowe już plany.

I rzekł: Wyrośnijcie smukłe mury na chwałę Panu.
 Wzrośnijcie silne, mocne, jak ufność w Boga, Wystrzelcie ku
 niebu wieże, smukłe, niebosiężne jak modlitwa prosta! Za-
 okrąglijcie się łuki potężne, wzniosłe jak hymn! Zakwitnijcie
 Bogu rozety cudowne! Otwórzcie się słońcu okien smukłe
 otwory! Wejźdź, wtargnij słońce przez okienne łuki do absy-
 dy świec dla sławy Chrystusa!.....

I wybudował kościół.

Stał wysmukły, mocny, piękny.

Lecz mury świątyni były szare.

I rzekł Malarz:

Zakwieć się ściana kwiatami dziwaczными! Porośnij cudne
 zygzaki! Święci pańscy i wy Anioły skrzydlate, ściany ob-
 siadźcie! Stańcie na mury Hymnem barwnym! Zaśpiewajcie
 Bogu swymi cudnymi kolorami!.....

Ujął w rękę pędzel i wyczarował na łukacch romańskich
 i ścianach cuda.

Cudne kwiaty zakwitły.

Zygzaki węzowe, wzory dziwne po ścianach się kłębiły.

Święci i Anioły o twarzach cudnych obsiadły tło ścian..

I kościół stał. Dźwięczały ściany kolorami cudnymi.....

Lecz słońce wpadało przez bezszybne okna.....

I rzekł artysta: Wyczaruję witraże.

I jeszcze powiedział: Niech rój Aniołów z Nieba przyleci,
 a ja go na szkło ożywię!

Przyleciał rój śnieżnych Istot a Artysta dał Im na szybach mieszkanie.

Dał im w ręce sprzęty muzyczne. Jednemu, skrzypki złotostrunne wraził w białe ręce. Drugiemu, do ust annielskich przytknął fletnię piskliwą. Trzeciemu grać kazał na surmie złocistej. A czwartemu smukłe palce położył na strunach lutni. Ubrał Ich w szaty bielutkie. Rzucił im na skrzydła białe błękit Nieba, złoto słońca wschodzącego. Otoczył Ich kwiatami bez nazwy, kwiatami z Raju...

I rzekł: Grajcie wy Anioły i śpiewajcie Hosannę dla Pana! I stała świątynia. Grały kolorami ściany jej.

Przez barwne witraże wpadały barwne słoneczne promienie i kładły na posadzce barwne plamy

Lecz brakło w niej Czegoś: Serca-Ołtarza.

I wziął Rzeźbiarz dwie ogromne marmuru bryły i z nich wykonał Ołtarz piękny.

Wziął potem trzecią bryłę i z niej uczynił

Postać Matki Najświętszej. Cudną, białą, o twarzy tak dziwnie pięknej, miłosiernej, świętej.

A w Ręce Świętej dał Jej Dzieciątko małeńkie....

I nie rzekł nic. Upadł tylko na twarz przed swym dziełem.

Serce mu śpiewało: Maryjo., cudnaś... Maryjo... wielkiem dzieło uczynił!....

Powstał potem i uchwycił znów dłuto. Wykonał dwa Anioły bieluskie, o głowawach schylonych kornie, Anioły-Sługi pokorne....

I stała świątynia, mocna, wysmukła, słońce przez przekrasne wdzierało się okno i barwiło na zielono-błękitno-czerwonomarmurową Madonnę.....

Lecz jeszcze brak było Czegoś w świątyni. Modlitwy.

Wszedł do świątyni Prostak.....

Uklęknął przed ołtarzem i spojrzał w słodką twarz Maryi.

Jedno wyrzekł tylko słowo: Maryjo!

Usta jedno słowo wyrzekły. Lecz w sercu odbiło się tysięcznym echem, zatrzęsło nim, nappełniło je tak dziwnym słodkim uczuciem, taką miłością.....

Dusza wyrwała się z Człowieka z gorącością, skrzydeł dostawała, leciała ku Niebu.....

I pękło serce od gorąca, bo pieśń była zbyt wzniosła.....

Powstała Modlitwa.

Hymn młodych straceńców.

*W butach dziury, w łokciach dziury,
Ale głowa wciąż do góry!
Kiszki puste, kieszeń pusta.
Ale przyszłość w myślach tłusta.*

*Przyszłość nasza — bośmy młodzi!
Chude „dzisiaj” — nic nie szkodzi.
Wszyscy wlecim pod obłoki,
Rycerze myśli szerokiej...*

*Tylko zawsze wszędzie humor,
Bez mazgajstwa. Śmiech na umor.
Szczęście samo do nas zjedzie.
Pomyśl o tym, Śmiej się w biedzie...*

Zybała Stanisław.

Wspomnienia z zabawy VII - VIII kl.

Minęła niby słodki sen. Szkoda — bo któżby się spodziewał, że tak dobrze wypadnie.

No — ale do rzeczy. Najpierw przed samą zabawą można było zauważyć, szczególnie w konwiktach gorączkowe przygotowania, które już trwały od południa. Jedni zawzięcie golili brody a właściwie „bród” — bo zarostu nie można by dopatrzyć się nawet przez mikroskop. Lecz mniejsza o to. Inni znów pożyczali na przedce kołnierzyki, krawaty, skarpetki (jeden nawet pożyczyl ubranie) Najgorszą jednak rzeczą było zakładanie kołnierzyków. Jest to prawdziwa męka — piekło na ziemi. Lecz i to w końcu minęło i jeden po drugim, po ostatecznej lustracji, ruszyli na zabawę. Po drodze spotkaliśmy Kaję, który po raz pierwszy występował na zabawie. Widać po nim było, że ma ogromną „treść”. Wypowiadał słowa bez związku — był zdenerwowany. Pocięliśmy go, jak tylko mogliśmy, no i udało się nam to przy użyciu pewnego „lekarstwa”.

No i wreszcie sama zabawa. Nie będę wspominał tego, co napisały koleżanki w swoim piśmie. Pominęły jednak dużo szczegółów.

Otóż na wyróżnienie zasługuje Francis za swe poświęcenie, tak przy strojeniu sali, jak też i przy obtańcowywaniu koleżanek, tych, które „siedziały na koszu”. Słusznym więc jest, że zdołał niejedno, mało doświadczone serduszeko. Inny znów, donżuan Juka, wpadł w oko niejakiej Lutce i to tak wyraźnie, że jej aż oko zczerwieniało i nie mogła go sobie uleczyć. (Ulecz ją Józku.) Ignacz zaś prawił niezmiernie komplementy koleżankom a w czasie kolacji zjadał zakąski ze „szlędzami”. Kostek adorował Janinę i chociaż nie dobrali się (z powodu nierówności wzrostu), to jednak wyśmienicie się bawili. Od czasu do czasu wyruszył na podbój innych, wydaných za jego pastwę.

Stałh uparcie pilnował Ryskę no i trochę się zadziżył. Miejmy jednak nadzieję, że się z tego wyleczy. Bogdan to już bywalec niejednej zabawy. Dla niego taka zabawa — to nie nowina. Dlatego też „lekkoo” brał niektóre, np. Stefcię.

Felek był w swoim żywiole. Początkowo adorował Ryskę, lecz później nagle „jakoś” zmienił front i z miejsca „zarzął się” (nie wiem, czy na pewno) w Stefci. Oczywiście niejedno mu zaadłościł, bo wiedział w kim się

zadurzyć — no i ma gust [tylko stoi mu na przeszkodzie „ktoś“]. Eda szukała uparcie koleżanek otyły h i „grubych“, ponieważ mówił, że wie, że ma coś w rękach. (Tylko na przystołość nie uciąż przed bostonem) Bolko czuł się dobrze i był w swoim żywiole i niejedno podił serousko [okruty.]

„Początkujący“ Heniek wyprzewadzał wszystkie tańce, tylko s koda, że miezbł mu się to udawało, albowiem wszystko tancył na „jedno kopyto“ w taki foxa.

„Poeta“ był rycerskim towarzyszem powszechnie nielubionej koleżanki Poil się miłością — szalał — tańczył i, .

„Żygus“ czuł się nieswojo — bo co chwila uderzał głowa o serpenty-ny i roził duży „bałaganu“ chochw dlatego, że tańczył z „tamtą“.

Na zakończenie należy dodać ze zabawa ta, chociaż krótka — to jednak każdego zadowolła i poza małymi starciami (jak wspomnienie niektórym o solidarności, wszystko było bardzo ładne wielu wniosło miłe wspomnienia, wielu pogubiło „gdzieś“ serca [między nimi jest kicz z „kastą“]. Współ-czuję szczerze z koleżankami które stały pod oknami i z zard ością ślodziły — jak się bawią starze koleżanki. No — nie przejmujcie się [za sześć lat na pewno tak samo będziecie się bawić (alca, Hauko i inne).

Dodać jeszcze trzeba że w cz. sie powrotu z zabawy „s toś“, bujający jeszcze w „marzeniach“ ruszył ze swoim kluczem do internatu, chcąc otworzyć jakieś serce. Przesz odziła mu w tym przedsięwzięciu zamknięta brama Mimo to, chciał się tam dostać przy czym zaczął wołać [zdaje się, że na Hanie]. Przeszkodził mu w tym jeden z p. profesorów i dopiero teraz zrozumiał co robił. „będąc w niejasnym stanie“ i upbkarzony ruszył do... K...

KĄCIK GOREJĄCY.

Iskra została rzucona. Tliło się ale słabo. Padła druga i znów słabym tylko błyskała płomykiem aż... w lutowym numerze „Promienia“ rzucono heczkę dynamitu. Huk... Błysk... Wrzask... Zakotłowało się w całym TTZ. Niech żałuje ten, kto nie był na ostatnim zebraniu ideowym.

Wspaniały i pyszny był widok rozplomienionych i roznamiętnionych obliczy. Szkoda tylko, że nie było tego, co dynamit rzucił. Odhłyski i odbicia tych namiętnych słów i sprzeczek, stanowią ten cały poniższy, długi ciąg artykułów.

Jeśli chodzi o nasze Wydawnictwa, stamowisko to jesteśmy neutralni i zacieramy z radości dłońie Niehywała to dla nas gratka. Odrazu spadło do nas i do naszego kosza tyle artykułów. Po prostu bez mała oknami i drzwiami sywały się artykuły. Zrobiło się ciasno, ale przyjemnie. Raz przynajmniej „Promień“ swą czerwoną okładką wzniecił pożar.

Nier. Wydawnictwa.

Stop! Kolego!

Razi kolegę okładka, bo na pewno jest „komunistyczna“...

Oznaką nieporadności krytyka jest wyrażenie się o krytykowanej rzeczy w sposób następujący: „bardzo ładne“, „ładne“, Objawem dość anormalnym są „dreszcze“ krytyka i możliwość „zemdlenia“ w czasie recenzji. Recezent całego „Promienia“ powinien się trochę choć znać na wierszach, a jeśli przy jednym przyznaje się, że się „na tym nie zna“, to dla-

czego bierze się do analizy innego wiersza? Dobry krytyk stara się o obiektywizm, kolega zaś jest jaskrawo tendencyjnym.

Wykpiwa kolega zasady demokracji — a sam czuje się członkiem narodu o demokratycznej Konstytucji.

„Organizacja o charakterze religijnym zajmować się mogą tylko zagadnieniem stosunku jednostki dla świata nadprzyrodzonego”. (zob. „Koledzy Zanowcy” — Fr. Krystka)

... I to kolega nazywa absurdowym frazesem? Przecież ów stosunek jednostki do życia nadprzyrodzonego, to właśnie właśnie popularna definicja religii!!!

To jest ciós który kolega wymierzył sam sobie — i po-grzebał się z kreteśm.

O zadaniach i zasługach religii, wcale pisać nie miałem zamiaru, bo to nie należało do tematu artykułu.

Kol. pisze, aby „wziąć się do pracy” a za chwilę uważa demokrację, której naczelnym postulatem jest praca, za coś „niepowołanego i niepożądanego”...

W recenzji „Matki” (zob. artykuł kol. Szczublewskiego) kolega wykazuje swój brak pojęcia o psychologicznych procesach duszy ludzkiej w chwilach krytycznych. Człowiek, bez względu na wyznanie, odczuje głęboko śmierć swej matki (o ile gorąco ją kochał), a w chwili rozpacz, gdy nad wola nie panuje, łatwo przejdzie do bluźnierstwa (Kochanowski „Treny”). Moment bluźnierstwa Zbigniewa Czartowskiego jest dostatecznie logicznie uzasadniony w „Matce”...

Kolega zapytuje mnie, czy jestem religijny i czy wierzę w Boga...

Zamiast odpowiedzi daję koledze mój wiersz „Wierzę” (J. Szczublewski) jeszcze raz do przeczytania. Zagadnienie Boga, sprawa najbardziej osobista, dla mnie podstawową jest i świętą i co do niej zastrzeżeń sobie robić nie pozwolę, tym bardziej osobom najmniej do tego powołanym. Nic szerszego nad wiersz „Wierzę” jeszcze nie napisałem. Zapytanie, czy wierzę w Boga, uważam za głupie i bezcelne.

Recenzję tegoż wiersza dał mi już głębszą p. prof. Grzywak i dwaj księża ostrowscy. Chwytnie za wyrażenie („na ustach”) jest niezrozumieniem przenośni.

TTZ. jest organizacją zbyt poważną i zbyt wielką mającą przeszłość i poprzedników, jako organizacja konspiracyjna, filomacka, czy już jako jawna, aby jej ideologię, opierającą się na samokształceniu i samowychowaniu, nazywać „zaliwaniem na beton” i „nabijaniem gości w butelkę”. Kolega kpi z „gnothi se auton”, z drogi do wielkości geniuszy ludzkości, sław na tle kultury i cywilizacji, ze spójni ideowej tych, co o Polskę Niepodległą walczyli, kolega drwi z na-

czelnego hasła Nowej Konstytucji Polskiej, gdzie miernikiem wartości danego osobnika jest praca, która TTZ. postawił na najwyższym piedestale swej ideologii, a którą ja podniosłem w swoim artykule („Refleksje ze zjazdu TTZ-etu w Poznaniu” — Szczublewski Józef), który nie był moim wymysłem, lecz kwintesencją referatu i dyskusji ostatniego W. Zjazdu T. T. Z.

W końcu nie rozumiem (Szczublewski), co kolega chciał powiedzieć przez „przyjaźń z przyrodą”? Czy przyjaźń z psami, ptaszkami i lasem, czy życie według „Lata leśnych ludzi” Rodziewiczówny, czy wreszcie dojście do lepszego poznania wielkości Boga, przez obserwację przyrody...? Czy w „Promieniach” listopadowym i grudniowym było tylko 12 artykułów, bowiem tyle tylko krytyka dotknęła?

Chciałbym już raz usłyszeć coś o samej formie, o stylu artykułów, czy wierszy, pewne rady, wskazówki, nagany, krytykę uczciwą, spokojną, rzeczową. — Bo tylko przez taką można się kształcić i doskonalić.

„Promień” to nie pole dla osobistych antagonizmów.

P. S.

Kolega dotknął także w swym „Przeglądzie” władze szkolne: p. Dyrektora i profesorów opiekunów, którzy są na każdym zebraniu ideowym, czy poszczególnych Kół TTZ-etu na których to podobno odbywa się „nadbudowywanie wiadomości na podstawie pism antyreligijnych”!! STOP KOLEGO!!

Józef Szczublewski (prezes TTZ.) i Krystek Franciszek.

Z powodu „Przeglądu”.

Przypadkowo trafił do „Promienia” nr. 5 artykuł Kol. „Harrego” pt.: „Przegląd”. Autor tego artykułu usiłuje dać krytykę dwu ostatnich numerów „Promienia”. — Popatrzmy, jak ta krytyka wygląda. Już po pobieżnym przeglądnięciu artykułu widzimy, że krytyka ta jest skierowana raczej tylko przeciw kilku (dwom) Kolegom, autorom artykułów, które tak bardzo oburzają Kol. Harrego. Kilka innych artykułów, i wierszy skąd innad godnych omówienia, pozostaje nieomówionych, a inne b. pobieżne. Prawda. Autor się na „wierszykach” nie zna, to mu jednak nie przeszkadza pewnego wieszczą skrytykować, zresztą o tem szerzej pomówimy.

Więc Kolegę Harrego razi art. Kol. Krystka „Koledzy Zanowcy”. Kolega Harry mdleje, rozdziera szaty nad tym

artykułem, woła: „Do czego doszliśmy“, i dorzuca zdańko: „Jeżeli tak było na kursie...“, po którym rząd kropek każe snuć w wyobraźni czytelnika mnóstwo przypuszczeń i ponurych obrazów. Kol. Harry się niepokoi i gorszy tym, że na kursie w Kościerzynie omawiano sprawy kulturalne, samokształceniowe, społeczne i religijne, że się zastanawiano nad sposobami pracy w ośrodkach TTZ-tu.

Autor uważa, że młodzież takimi sprawami zajmować się nie powinna, bo tylko „bałagani“, że praca samokształceniowa w TTZ-cie dążąca do wyrobienia światopoglądu, polegającego na ustaleniu swego stosunku do państwa, narodu, spraw społecznych, jest niebezpieczną; wreszcie Kolega Harry oburza się na „zasady demokracji“, które, jakoby nic nie mają do roboty na terenie szkolnym. Zdaje się, że autor nie zdaje sprawy, że mieszkamy i żyjemy w demokratycznej Polsce, że wojsko, szkoła etc. są oparte na zasadach demokratycznych. Kol. Harry odrzucając kryterium wartości człowieka — pracę (to jest przecież jedna z zasad demokracji) chciałby przyjąć, jako miernik jego wartości ilość złotych brzęczących w kieszeni, piękną buzię, zdolność do gadania, czy ja wiem wreszcie, co?...

Wreszcie Kol. Harry oburza się niezmiernie na zdanie „organizacje o charakterze religijnym“ powinny się zajmować jedynie zagadnieniem stosunku jednostki do świata nadprzyrodzonego“, zarzucając Kol. Krystkowi zapomnienie o zaślugach i zadaniach religii.

Z pewnością Kol. Krystek wie o nich doskonale, ale też z pewnością Kol. Harry w zupełności nie rozumie, co to jest stosunek... jednostki do Boga, jaka rozpiętość ma to zagadnienie i dziwię się bardzo, czemu Kol. pisze: „przecież religia stoi na straży prawa moralności, wychowuje młodzież, opiekuje się rodziną, i broni jej“. Nikt przecież temu nie zaprzecza, a Kol. Harry tak stawia sprawę, jakby chciał, aby np. Sodalicia Mariańska zajmowała się obroną przeciw-gazową, grą w piłkę nożną, lub prowadziła przysposobienie wojskowe. Tu chodzi o to, aby każda organizacja miała swoje, o ile możliwe, jak najwyraźniej odgraniczone pole działania, aby nie było żadnych zazębnień i aby organizacje nie konkurowały ze sobą na jednym polu. Przecież TTZ. o ile zajmuje się religią, to tylko ze stanowiska historycznego, czy społecznego i to jest zupełnie naturalne, bo jego zadaniem jest pracować na innym polu, a głębsze rozstrząsanie spraw religijnych pozostawia organizacjom o charakterze religijnym, i zupełnie słusznie chce, aby i one w ten sam sposób usto-

sunkowały się do zagadnień, którymi jako organizacja o charakterze ogólnie - kulturalnym się zajmuje.

Ze stanowiska religijnego, ale w sposób niespotykany, zajmuje się Kol. Harry „Matką”. Trzeba zauważyć, że rzeczywistość „Matka” — to fantazja, ale nie w ten sposób pojmowana, jak to pojmuje Kol. Harry. Nie należy rozumieć tego, jako fotografii rzeczywistości, lecz jako rzecz powstałą w imaginacji autora, naturalnie jako rzecz prawdopodobną, bynajmniej nie oderwaną od rzeczywistości. I tu Kol. Harry srodze się myli, mówiąc: „Człowiek który ma wiarę głęboką nie będzie się smucił nawet po śmierci matki, ale będzie bluźnił, tylko niewierzący!” Niestety życie samo i przykłady z literatury przeczą takiemu stanowisku. Bynajmniej nie stawiając tak wysoko autora „Matki”, można przypomnieć sobie pisma naszych wieszczów narodowych. Rozmawiając na ten temat z jednym Kolegów, usłyszałem: „tak, ale oni to przeżywali głęboko, więc im było wolno to napisać a zresztą nie można jego (tzn. autora „Matki”, porównywać z Mickiewiczem, czy z Słowackim”. Słusznie, ale każdy może przeżywać głęboko i tego nie wolno rezerwować jedynie dla wybranych, a zresztą, jeżeli Kol. Szczublewski włożył bluźnierstwo w usta swego bohatera, to autorowi „Matki” przypisywać tego nie wolno, jak to chce delikatnie zrobić Kol. Harry.

„A... tacy (niewierzący) w gimnazjum zdarzają się...” Kolego Harry! — To jest ciężkie oskarżenie, którego nie wolno tak lekkomyślnie rzucać, jak to robi Kolega. Należy sobie dokładnie zdać najpierw sprawę z tego co to znaczy, co Kolega z lekkim sercem napisał, bo to rzuca cię na cały zakład. To pytanie: „Czy Zbigniew wierzy w Boga?”, które, zdaje się, ma być skierowane do takich, którzy „zdarzają się w gimnazjum”, to wielkie pytanie, na które Każdy odpowie Tak! Jeżeli kiedykolwiek spotkał się Kolega z pewnymi wątpliwościami, które częste w wieku młodzieńczym nurtują pośród nas i na które w ten czy inny sposób, szuka się odpowiedzi to jeszcze nie wolno Koledze rzucać takich insynuacji!

Tak samo omawiając „Refleksje ze zjazdu” Kol. Szczublewskiego, Kolega ciężko oskarża pracę TTZ-tu, zarzucając posługiwanie się pismami antyreligijnymi, przy tym nadbudowywaniu wiadomości, których szkoła dać nie może. To uzupełnianie wiadomości których szkoła dać nie może, jest podstawą pracy każdej bez wyjątku organizacji na terenie szkolnym, więc Kolega przeczytawszy gdzieś o wypadku czytania

pism antyreligijnych, chce to rozciągnąć na organizację taką jaką jest TTZ ???!

Jeżeli Kolega z takim lekceważeniem mówi o samowychowywaniu, samokształceniu, to widać, że Kolega nie wie co to jest i do kolegi można zastosować zdanie Kol. Szczublewskiego: „Ideologia Zanowa jest trudna i tylko przez trud trzeba do niej dochodzić, aby w nią uwierzyć, trzeba samowykształcenie głęboko przeżyć, aby go po kilku latach nie nazwać proporcowym frazesem”. Mając tak wyjaśnioną sprawę samokształcenia — podstawy pracy TTZ-tu jeżeli Kolega pisze o „zaliwaniu na beton” etc, to bardzo Kolegę żałuję! „Wierzę” i frazeologia, którą Kolega złączył z tym pojęciem przy omawianiu wiersza Kolegi Szczublewskiego potwierdza tylko to „wiersz — nie znam się na tym”, zresztą wziąwszy pod uwagę charakter całego wiersza należy stanowczo inny sąd przyjąć, niż Kolega Harry, lecz on już tak przyzwyczaił się do stawiania nieuzasadnionych zarzutów, że dłużej nad tym nie będzie się zastanawiał.

Jest rzecz ważniejsza: Kol. Harry ostro atakuje Kolegów Krystka i Szczublewskiego, którzy byli podpisani pod odpowiednimi artykułami, stawia zarzuty bardzo poważne, bez obwijania w bawełnę, widzi lewicowe nastawienie i niereligijność obu, ponadto zarzucając poprostu Kol. Szczublewskiemu obłudę (Wierzę), a sam się chowa pod pseudonimem. Takich rzeczy się nie robi.

Teraz widzi się, dlaczego drażni Kol. Harrego okładka: (kolor czerwony). Przyczyny tych wszystkich insynauj? Szukać daleko nie trzeba: Kolego Harry mdleje, robi mu się słabo, przechodzą po nim dreszcze, co wskazuje na chorobę nerwową. Kończę popularnym już zwrotem.

„Leczyć się trzeba, Kolego, leczyć!”

B. Polionis.

Matka...

Szary mrok wkradał się do małego, ciasnego pokoiku, rozsiadał się po kątach i... zaczęły się rzady... „To wszystko moje — powiedział — ja tu panem, mnie każdy słuchać musi!”

Przyszła a z nim razem jakiś nastrój posępny, smutek melancholia... Ostatnie promyki słońca, co jeszcze przed chwilą swawolnie igrały, spojrzwały tylko „zezem” na niego i czym prędzej się wyniosły... — Cień jego rzucił się nawet na jej twarz spracowaną, pooraną zmarszczkami, na

jej oczy wyplakane, które mogłoby wiele powiedzieć...

Podniosła się ociężale i wolnym krokiem przesunęła się jak duch po pokoju. Przystanąła przed obrazem Matki Boskiej, zapliła lampkę i westchnawszy cicho, powróciła na swoje dawne miejsce... Nie miała źle, byłoby nawet dobrze, gdyby nie...

Blado - czerwone wiązki promieni wychodząc z lampki, padały na obraz, na tę drugą Matkę, wieczną, niebieską i odbijając się, przechodziły na twarz jej, śmiertelniczki...

Czarne, przykre myśli narzuciły się gwałtownie, odpychane, przechodziły znowu i z większą furją atakowały, wkradały się do serca i siały zwątpienie... Sama była... Starszy syn gdzieś wyszedł a najmłodszy Dzidzius (tak go kochała) poszedł właśnie do sąsiadki... On jeden zawsze wesoły, beztroski... Teraz — tak to on zakrzyknął, to jego głosik i... przeszło ją takie ciepło, coś, czego nie umiała nazwać, ale tak jej z tym było dohrze. tak lekko... Nawet Panienska Najświętrza się uśmiechnęła... Z jej ust nieco rozchylnych wyszedł szept: „Dzidziusiu, Dzidziusiu: prawda że ty będziesz inny jak twój braciszek, ty będziesz mamę kochał, nie dasz jej krzywdy wyrządzić, ty będziesz kochał Jezusa, ty będziesz sługą Tej, do której wszyscy modlą się „Pod Twoją obronę”, ja wyrwę tobie w duszy te dwa słowa, tylko dwa... Bóg i Ojczyzna..“

I nagle spadły jej dwie łzy, łzy czyste, macierzyńskie łzy radości...

Jakże byłaby ona szczęśliwa, gdyby i ten drugi był takim... Ale, on gimnazjasta i to jeszcze w dodatku z czerwoną tarczą, gdzieby słuchał matki! Przecież nie może słuchać takich głupstw, on wierzy tylko w swoje siły, swój rozum. (O jaki prosty)... idzie z postępem czasu, zresztą coby inni na to powiedzieli, jego „ukochani” przyjaciele (ha, ha, ha!) Religia? Wszystkie religie są dobre! Etyka? Człowiek, który sam się kształci, powinien mieć swoją etykę, niezależną, wolną od przesądów, etykę, która nie nakłada na nikogo żadnych obowiązków! Na Mszę św. można jeszcze chodzić... Siedzi się w ciepłym pokoju, śpi, względnie czyta jakieś utwory literackie, ostatecznie można nawet w czasie nabożeństwa uklęknąć na Przemienienie, chociaż to właściwie należy do bab! Czasem trzeba jeszcze napisać jakiś referat wychwalający religię, bo to może się przydać... A potem?... No, zobaczymy, jakoś... to będzie. Zresztą nie warto o tym nawet myśleć...

Sam bywał rzadko w domu... — Teraz przepędzał czas z kolegami, bawił się, brał udział w dyskusjach, zebraniach...

Chciał pokazać się innym mądrym odczytanym: studiował Pismo św. i prawo kanoniczne...

Pewnego dnia... przyszedł jakiś zdenerwowany, czerwony, na pytania odpowiadał bardziej opryskliwie, niż zwykle, a że był to już wieczór, nagłym ruchem ściągnął krawat, „zwałił” buty, rozpiął marynarkę i „wpakował się” do łóżka...

Nowe myśli i plany snuły mu się po głowie, chciał zwyciężyć... Dzisiaj został pokonany, pobity „na głowę” i dlatego chciał się zemścić, chciał jeszcze raz spróbować i z pomocą szatana dopiąć swego celu. A ten mu pomagał z chęcią... O północy nagle jakiś hałas... Coś spadło na ziemię... Co się stało? Ratunku!! Wstała szybko przerażona i przestraszona biegnie do drzwi... „To nie tu, pomyliłam się”... — Wpada do drugiego pokoju i... staje jakby piorunem rażona. Jej syn z rozwichrzonymi włosami na ziemi, poduszki w kącie, nogi na poduszkach, a co za twarz...? Usta zaciśnięte, skrzywione, jakiś uśmiech dziki, straszny nie schodził z niej. To szatan grał jeszcze, a przebierał wściekle, z dzikim szaleństwem upojenia, bo znalazł, a raczej oddali mu — „ofiara”. — Szedł oberek po oberku, mazur po mazurze...

„Dech jej zaparło”... Blask świecy jeszcze to potęgował, Straszne, okropne! Tak musiał umierać Voltaire... Zatrzymała się jednak tylko chwilę, wiedziała co ma robić... Trzeba wyrwać go szatanowi!! ... I wyrwała miłość matki zrobiła swoje...

Józio przychodził do „zdrowia”... Czasem jeszcze popadał napowrót w zło, czasem jeszcze bluźnił, ale z pomocą Królowej Anielskiej, Ucieczki grzeszników, przeszedł na łono jedyne, prawdziwego, Kościoła Chrystusowego.

eP - Wu.

Szukam prawdy.

„Szukajcie prawdy jasnego promienia! Szukajcie nowych, niedkrytych dróg!”...

Adam Asnyk „Do młodych”.

Ważną, głęboką myśl i potężne wskazania dla nas zawierają te początkowe słowa wezwania „Do młodych”.

Każdy z nas przechodził względnie będzie przechodził chwile, kiedy cały gmach uczuć, przekonań zaczyna się chwiać, kiedy wszystko, co dotychczas było piękne, wzniosłe wydaje szare, codzienne, bezsensowne, niedorzeczne.

Wtedy z gorączkowym pośpiechem szuka każdy zawiązania danej kwestii. Bada, czyta, co popadnie pod rękę

i stara sobie zrobić własny niezależny, różny od poprzedniego sąd. Krytycyzm rośnie, zatacza coraz szersze kręgi, obejmuje zagadnienia nie tylko kulturalne, społeczne ale nawet religijne, a raczej przede wszystkim. Budzi się wtedy poczucie własnej siły, budzi się uspiomy Konrad mickiewiczowski. Wznosi się w duszy gmach „potężny” na „stalowych” podstawach, którego każdy chroni, chociaż nie wytrzymuje on próby życia. Ambicja nie pozwala przyznać, że to, co zbudowaliśmy, jest gorsze niż nasz pogląd z lat minionych. W duszy jednak przyznajemy, że na papierowych kolumnach postawiliśmy nasz światopogląd (bo tak to nazywamy) i zaczynamy te podstawy umacniać. Z kwestiami społecznymi załatwiamy się raz dwa.

Jest źle, musi być lepiej. Nie zastanawiano się, że to co uznajemy za złe, jest jednak lepsze od tego, co my chcielibyśmy wprowadzić, że ten zły porządek społeczny trwa wieki i powoli się dźwiga, poprawia, podczas gdy nasz lepszy porządek (w teorii) okazuje się już po kilkunastu latach bezwartościowym w praktyce.

Staramy się drogą jaknajłatwiejszą dojść do celu. Kiedy więc dana rzecz, dana kwestia zajmuje więcej czasu, więcej wysiłku umysłowego uznajemy ją za bezwartościową.

Reformujemy świat! Do tego walnie mogą nam dopomóc różne wydawnictwa książek mające na celu zapoznanie „inteligentnego” człowieka ze złymi i dobrymi stronami życia współczesnego we wszystkich dziedzinach. Niestety znowu nie zastanawiamy się, że zarzuty łatwo stawiać, bo to nawet analfabeta potrafi, potrafi narzekać na „ciężki chleb” i „kiepskie czasy”, ale nie potrafi powiedzieć, co zrobić, żeby było lepiej, ale nie tylko jemu samemu lecz wszystkim ludziom.

Nie chcę tu wymieniać różnych organizacji pozaszkolnych (do których uczniom nie wolno należeć), które skwapliwie przyjmują wszystkich „łaknących wiedzy i poznania prawdy”, żeby im ułatwić „samokształcenie”.

To jest jedna droga po której kroczą (na szczęście) nieliczni z nas i torują drogi „potężnym wysiłkiem skonsolidowanej woli” tam, gdzie są asfaltowe szosy.

Utopia jest piękna, jest jednak niestety utopią. Wytknęliśmy sobie cel dojścia do prawdy a doszliśmy do.....?! Wobec innych nazywamy to prawdą, wobec siebie niczem.

Ale za to wynieśliśmy dużo samokształcenia. „Bardzo!” Orientujemy się doskonale we wszystkich zagadnieniach, prądach społecznych, „robimy” inteligentnych i inteligencję na każdym kroku, widzimy w zdaniu przeciwnika jednostron-

ność i subiektywizm, potrafimy krytycznym wzrokiem parzyć na wszystko i oburzać się ale tylko dlatego, że to dla nas za trudne i niezrozumiałe.

Widzimy w każdej obcej dla nas rzeczy cienie, nawet w jej stronach dodatnich, w sobie tylko „blaski”.

To jest szukanie prawdy w latach t. zw. „cielęcych” jednak musimy się pocieszyć, że dla większości będą one tylko wspomnieniami lat „sielskich anielskich”.

Pamiętajmy jednak, że musimy ze szkoły wyjść nie aby szukać prawdy, lecz z nią, aby szukać „nowych nieodkrytych dróg”.

Słuchajmy głosu poety, który woła :

„Nieście więc wiedzy pochodnią na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnoście gmach!”

i dalej :

„Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idelnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi! —
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów !”

(Adam Asnyk)

Anso.

„Sprecyzowany pogląd”.

Dopiero teraz piszę w sprawie artykułu pt.: „KOLEDZY ZANOWCY”, gdyż myślałem, że zajmą głos lepsi odemnie. Wprawdzie coś już mówiono, ale wskutek tego, że nie poszło to po mej myśli, chciałbym kilka słów na ten temat powiedzieć.

Najlepiej posłuchajmy co sam autor mówi:

„Starsze pokolenie już się przeżyło i nie rozumie ani terażniejszości, ani nas młodych. Pamiętajmy jednak, że pokolenie to liczyć się z nami musi, gdyż w naszych czynach będzie leżeć przyszłość Polski”.

Myślę, że nie za dużo powiem, gdy ocenię to wszystko jako pusty frazes. Zapewne sam autor go nie rozumie, pewnie autorowi wraz grupką Zanowców (ze zjazdu) zdaje się,

że przerośli ideały społeczne starszego pokolenia.

Ze strony autora widać, że jakoby spotkał się z obywatelami, którzyby się z jego zadaniem nie liczyli. Jasnym jest, że kolega musiał się spotkać z przeciwnym zdaniem niż własne, bo inaczejby tego nie napisał. Nie wiem z kim rozmawiał i co było przedmiotem rozprawy, że kolega doszedł aż do wniosku, że starsze pokolenie się przeżyło i nas nie rozumie.

Może to młodzież chce się bawić a starsi jej nie rozumieją, może to, że starsi mówią, że młodzież nie zna tańców narodowych a inne woli, może wogóle kolega jest „rozogniony” z powodów „luzinkowych” na starsze społeczeństwo. Kolego autorze! Czy to warto być tak upartym przy swoim, rzekomo sprecyzowanym, światopoglądzie i czując się „pokrzywdzonym” ze strony społeczeństwa opowiadać, że ono się przeżyło. Jestem przekonany, że starsze pokolenie, czytając te słowa, musiało się serdecznie uśmieć nad „potęgą ducha” autora.

Największym nieszczęściem dla jednostki jest to, gdy ona stawia się bezpodstawnie na potężnym piedestale wyższości. Czy kolega sobie zdaje sprawę coby było, gdyby starsze pokolenie znikło nagle z powierzchni ziemi, jako, że jest przeżytkiem. Być może, że kolega spotkał się z jakimś oryginałem, ale trudno, nie można tego podciągnąć pod wspólny mianownik.

Młodzi niedoświadczeni.

Starsi - mądrzy.

To jest właśnie psychika natury ludzkiej i z tego sobie trzeba zdawać dobrze sprawę.

„Taka przyszłość narodu, jakie jej młodzieży chowanie” (Zamojski). Czy według kolegi społeczeństwo nie jest wstanie dać nam takiego wychowania, dzięki któremu Polska byłaby mocarną? O nie, kolego, to poważna pomyłka, bo starsze pokolenie, które krwią własną wytyczyło granice zmartwychwstałej Ojczyzny, jest dla nas najlepszą szkołą, najlepszym probierzem do porównywania naszych cnót obywatelskich. Nie wiem co kolegę zmusiło do wydania takiej opinii, ale to jedno jest wiadome, że to „non licet”.

„Uznaliśmy, że narody są grupami zróżnicowanymi kulturalnie, na skutek niezależności swego rozwoju”.

Czy aż z taką szumnością trzeba się do tego przyznawać, raczej należałoby powiedzieć: — Jeśli nie chcesz tego uznać, toś głuptas, i koniec.

... „Wszystkim narodom przynajmniej równe prawo do

organizowania się w formach państwowych".

Autor a także i grupka Zanowców (nie chcą nikogo dotykać, więc mały dodatek: o ile kolega nie używa „pluralis modestiae”) — to potentaci światowi od których zależy czy Apollo napina łuk, czy Muzy odnoszą zwycięstwa. Biorąc pod uwagę okoliczności, to ma się wrażenie, że urządzono sobie zabawkę w metarmozozy. Gimnazjasta — dyplomata światowy i to jeszcze nielada. Śmiech człowieka bierze, gdy się czyta, co to ludzie o sobie myślą. Czyżby kolega przejął się Mickiewiczowskim „Człowieku, gdybyś wiedział jaka twoja władza”.

No, ale porzućmy narazie formę, myślę że kolega dobrze się orientuje w tych sprawach. (Piszący nie ma do tego pretensji). Więc tak, z jednej strony dobro i interes państwa, z drugiej strony przyznanie narodom prawa do organizowania się w państwie. Jakby więc kolega załatwił kwestię ukraińską. Jednego trzeba się wyrzec: albo dobra państwa, albo prawa przyznawania. Niestety trzeba szukać dro pośredniej. Sprzeczność jest wyraźna. „Państwo i naród są czynnikami równorzędnymi”. Niestety, tu jest pomyłka rzeczowa. Nie potrzebuje być państwo, ale jest naród. Przykład taki był u nas. Nie było państwa, ale był naród, żył rozwijał się...

Demokracja — zupełnie bez zarzutu.

... „Stoję na stanowisku popierania realnej akcji pacyfistycznej. Wierzę, że zmiana psychicznego nastawienia wobec zagadnień walki o byt zmieni dzisiejsze sposoby regulowania stosunków międzynarodowych, wierzę, że wojna będzie należeć wtedy do przeszłości”.

Dalsza próbka dyplomacji miary światowej. Chyba każdego razi forma, ustawiczne stawianie swego „ja” robi się niesmacznym. Młodemu często się wydaje, że ma rację, a jednak jej nie ma. To mógł każdy z nas nie tylko zauważyć, ale i przeżyć. O zupełnie sprecyzowanym, stałym, jasnym światopoglądzie u młodego mowy być nie może, chyba, że ktoś jest geniuszem...

Za mało mamy wiedzy konkretnej i znajomości życia.

... „wierzę, że wojna będzie należeć wtedy do przeszłości”.

Zaiste kolego, piękne marzenia, czy zgodne z życiem? Nie!! I tak kolego doszedł do absurdu, bo jak Chińczycy przejęci praktycznością jeszcze dotąd mają niepraktyczne pismo, tak kolega — przejęty realizmem — jest zupełnie nie-realny. Kolego, mrzonki czyjeś nie mogą się składać na spre-

cyzowany pogląd. Należałoby powiedzieć, że wojen będzie mniej, ale że wcale — to zbyt ryzykowne.

Muszę jeszcze zaznaczyć, żeby mnie źle nie zrozumiano. Owszem młodzież powinna się wypowiadać w sprawach poważnych, ale nie takim tonem i nie twierdzić, że jedynie to jest miarodajne, co ona powie. Jeszcze na końcu wzmianka o religii. Z tolerancją zupełna zgoda, ale trzeba pamiętać, że tak jak bezwzględna wolność jest zgubną, tak zupełna tolerancja religijna może być szkodliwą dla państwa. Dalej, że religia nie jest zupełnie sprawą prywatną, najlepszym tego dowodem jest dzisiejsza Hiszpania. Tam właśnie rozgrywa się walka o poglądy, o religię...

Wogóle mówiąc otwarcie artykuł kolegi ukazuje megalomanię, która przeradza się w śmieszność. Kolego! Ośmięszając się nie wolno, — toć prawo etyczne. Jeżeli to naprawdę były wspomnienia z kursu, (niezbyt chce mi się wierzyć) to wcale, przynajmniej w swej większej części, nie były warte, żeby się z nimi dzielić.

X.

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

Kulawy rudzielec.

Przed jakimś miesiącem przyszedł do naszej szkoły nowy uczeń Józek Zaremba. Mieliśmy już z pięciu Józków w klasie, więc nikthby uwagi na niego nie zwrócił, gdyby nie to, że był rudy i nie miał nogi. Wszyscy w klasie mieli zwyczajne włosy — jak Bóg przykazał i po dwie nogi, a on był prawie czerwony na głowie i miał tylko jedną nogę. Właściwie, z początku trudno to było zauważyć, gdyż myśleliśmy, że włosy ma ciemno-złociste ale ktoś powiedział:

— Rudy — i wszyscy odrazu przekonali się, że naprawdę jest rudy... zupełnie czerwony — jak ogień.

A znów z tą nogą, to sam nam się przyznał. Zauważyliśmy coprawda że jakoś ciężko stąpa, utykając, ale nikomu nie przyszło do głowy, że może nie mieć nogi, dopiero jak przyszła gimnastyka i został zwolniony, Jasiek Nowicki zapytał:

— Co ty jesteś kaleka, czy co?

Poczerwieniał na twarzy, jak burak. Nawet cała szyja mu poczerwieniała i cicho szepnął:

— Tak.

Wytrzeszczyliśmy oczy z ciekawości.

— Co ci jest ?

— Pokaż ! Gdzie ?

Uniósł wtedy nogawkę i okazało się, że zamiast nogi protezę. Ta proteza tak doskonale była zrobiona, że zupełnie udawała prawdziwą nogę, nawet tak samo zginała się i chodziła, chociaż była zrobiona ze sprężyn, stali i skóry.

Jakiś czas byliśmy bardzo dumni z takiego nadzwyczajnego kolegi, bo to rzadko kiedy może się zdarzyć, żeby ktoś jednocześnie był kulawy i rudy, ale potem zbrzydl nam porządnie. Uczył się bardzo dobrze. Zawsze spokojnie siedział na skraju swojej ławki i pilnie słuchał lekcji

Bo co takiemu ? Biegać nie mógł przez tą nogę, a znów zadawać się z nim nikt nie chciał, — bo rudy, a wiadomo, że rudzi to zawsze są fałszywi. Najbardziej nas złościło, że był taki jakiś inny od nas. Cichy, spokojny, smutny. Zawsze ustępował. Nigdy się nie sprzeczał. A my lubimy kiedy chłopak jest zadzierzysty, bojowy. Taki, co to nie da sobie w kaszę dmuchać. Kiedyś Jurek Majerski wysmarował przed matematyką całą tablicę tłuszczem. Była wielka awantura i wszyscy się wydało.

— To ta ruda mała — krzyknął Janek Werner — nikt inny, tylko on nas wsypał...

Wszyscy na niego wpadli.

— Ty ryży szpiegu.

— Kuternoga !

— Wewiórka ! (krzyczeli)

Stał pod ścianą ogromnie blady i tylko usta mu drżały a w oczach kręciły się łzy.

Ktoś go pchnął. Upadł. Zrobiło się zamieszanie i musiał porządnie oberwać, bo chociaż nic nie mógł mówić, tylko usiadł na ławce i twarz zakrył rękami, jednak łzy lały mu się przez dłonie ciurkiem i szloch wstrząsał jego ramionami. Wszedł wychowawca. — Zrobiła się cisza.

— Kto cię skrzywdził, kochanie ? — zapytał swoim dobrym głosem.

Józek z początku milczał i byliśmy w porządnym strachu a potem zaczął mówić przerywanym głosem :

Zaczepiłem nogą o..... ławkę..... upadłem..... potłukłem się i teraz boli.

... Westchnienie ulgi wyrwało się z naszych piersi a wychowawca tylko uważnie rozejrzał się po klasie i bez słowa wyszedł.

Zawstydziliśmy się w tej chwili ogromnie, ale nikt nie

chciał pierwszego kroku do zgody zrobić, tym bardziej, że z takim „rudzielcem” nigdy nie wiadomo.

W tem na ławkę wskoczył Romek Jankowski.

— Chłopcy! — krzyknął — to jest tchórz — zląkł się, że mu sprawimy nową łaźnię ..i dlatego nas nie wydał.

Tchórz..... Tchórz..... zajęcza dusza!

Józek bardzo blady powoli pakował swoje książki. Po policzkach ściekały mu łzy wielkie jak groch.

— Wyświęcić go! — krzyczeli jedni.

— Wygnać — wypędzić! — darli się drudzy.

Nikt nie wiedział skąd powstała ta nagła nienawiść do Józka. bo wszyscy czuli że napewno winny nie jest, ale jeden drugiego naśladował i nienawiść do rudego kaleki stawała się coraz silniejsza.

Otwarły się drzwi i wszedł wychowawca z dyrektorem. Dyrektor trzymał w rękach jakieś małe pudełeczko. Zapanaowała cisza, podobna do grobowej.

Józef Zaremba — powiedział dyrektor bardzo poważnym głosem.

— Jestem, szepnął cicho Józek przecierając rękawem oczy.

— Proszę do mnie!

Józek zakuśtykał się pod samą katedrę i stanął wyprężony przed dyrektorem. Dyrektor powoli rozwinął jakiś papier.

— Przed chwilą przyszedł list z ministerstwa w twojej sprawie — powiedział.

Nastawiliśmy wszyscy uszu.

— Za uratowanie życia dwojga osób... za twój bohater-ski czyn, który opłaciłeś utratą nogi... Zostałeś nagrodzony medalem za ratowanie ginących.

To powiedziawszy, wyjął wśród strasznej ciszy medal z pudełka i przypiął go na piersi Józka.

— Chłopcy — zwrócił się do nas — stańcie „na baczność” przed bohaterem!

Zdumienie było tak wielkie, że wydawało się nam, że to tylko sen, a potem znów przyszedł wstyd i jakiś żal na siebie i poczucie takiej winy, że pragnęliśmy, aby ziemia pod nami zapadła się.

Staliśmy nieruchomo przed naszym beznogim, rudym kolegą, a tymczasem dyrektor mówił dalej:

Była u mnie ta kobieta, której uratowałeś życie, razem ze swoją małą córeczką... zapytała o ciebie... powiedziałem, że czujesz się u nas dobrze i jesteś kochany przez kolegów... Zaszczyc przynosisz naszej szkole i jestem z ciebie dumny.

Podał rękę Józkowi, ucałował go w oba policzki i razem z wychowawcą opuścił salę. Dopiero po pewnej chwili najśmielszy z klasy Maciek Samborski nieśmiało przystąpił do Józka i szepnął tak, że prawie nie było słyhać: Przebacz! Przebacz.. błagam cię przebacz!

Krzyknęliśmy razem!

Nikogo nie było, żeby nie miał łez w oczach, a serca tak skakały w piersiach, jakby młoty po kowadle.

Józek skromnie uśmiechnął się i powiedział:

— Wcale się na was nie gniewam... przecież ja naprawdę jestem rudy i kulawy.

Od tej chwili bardzo go kochamy!

Zbign. Szwiling kl. IIa.

ŻYCIE ORGANIZACYJNE

Parlament dyskusyjny.

Dnia 20 bm. w sobotę o 16 po południu ITZ-et urządził pierwszy „parlament dyskusyjny”. Omawianym był „Wiek przełomowy człowieka”, pierwsze fermenty i niepokoje w głębi duszy, stosunek „przełomowców” do szkoły, rodziców, religii, autokrytycyzm, krytycyzm, rola przyjaźni, kwestia rozstrzygnięcia zagadnień, rozwój fizyczny i psychiczny, wzajemny ich wpływ na siebie, samokształcenia i samowychowanie, role organizacji w wieku... Referentem był kol. prezes Szczublewski. Dyskutowali: Jaroszewski, Hyla, Polionis Biąkowski, Ożegowski, Zając, Zybala, Sobczak, Jüngst. Obecnych było 42. Czas trwania 2 godz. Nastrój — letni. Dyskusja na poziomie. Przewodniczył Szczublewski — referent. Ohcny na parlamencie p. Dyrektor udzielił szerokich wyjaśnień, głównie z własnych doświadczeń.

Kółko Polonistyczne.

W miesiącu styczniu i lutym Kółko odbyło 5 zebrań, w tym jedno walne. Na walnym zebraniu, wybrano prezesa komisji rewizyjnej, na miejsce wydalonego z Kółka kol. Jeża. Został nim kol. Kut z kl. III a. Uchwalono odbywać zebrania co dwa tygodnie i połączono sekcję regionalną z dziennikarską a sekcję żywego słowa z literacką.

Wobec tego Kółko posiada obecnie 3 sekcje i to: dziennikarską, literacką i psychologiczną. Na zebraniach odczytano następujące referaty: „Modlitwa”, „Mazurek Dąbrowskiego i jego twórca”, „Najważniejsze utwory J. Słowackiego w pierwszym okresie jego twórczości”, „Johann Wolfgang von Goethe”, trzy referaty gramatyczne i wygłoszono jeden żywy dziennik. Nowa sekcja psychologiczno-doświadczalna rozpoczęła swą pracę w lutym pod kierownictwem kol. Rajskiego. Ćwiczenia jakie w tym miesiącu na zebraniach tej sekcji przeprowadzano, odnosiły się do badań nad pamięcią.

Należy także wspomnieć o „kawce” Kółka, która odbyła się 2 lutego. „Kawkę” zaszczycili swą obecnością p. dyrektor i kurator Kółka p. prof. dr J. Jachimiek. Na program „kawki” składały się felietony, monologi, utwory muzyczne w wykonaniu kol. Krawczyka i kol. Żaka, wreszcie wesołe piosenki.

OD REDAKCJI.

Tyleśmy dostali materiału, że nie wiadomo było co odrzucać. Mimo to nie mogliśmy drukować nawet wszystkich, już przyjętych artykułów, bo zabrakło czcionek.

Dlatego prosimy kol. kol. „Dani,” „Zybałę” i „G” o wyrozumienie. Artykuły kolegów ukażą się w kwietniu.

Nie dziwcie się też mozaice pism, ale sztukowaliśmy czym się tylko dało.

Z podobnych powodów odkładamy „Kącik Krytyczny” do następnego numeru.

Kier. Wydawn.

T R E Ś Ć : 1. Życzenie. 2. 19-ty marca. 3. Splunąć w dłoń i... do pracy. 4. Garść wspomnień z wielkich dni. 5. Modlitwa kapłana. 6. Z teki wzorowych wypracowań. 7. Noc w zamku. 8. Tworzenie. 9. Hymn młodych straceńców. 10. Wspomnienia z zabawy VII - VIII kl. 11. Kącik gorejący. 12. Z powodu „Przeгляду.” 13. Matka... 14. Szukam prawdy. 15. Sprecyzowany pogląd. 16. Kącik najmłodszych. 17. Życie organizacyjne. 18. Od redakcji.

**Czcionkami Drukarni Powstającej J. Bąka i R. Górskiego
w Ostrowie Wlkp., ul. Kaliska 31 a.**

(Nakładem T. T. Z-tu)